wolnelektury.pl

Eliza Orzeszkowa

Rotszyldówna

Ta lektura, podobnie jak tysiące innych, jest dostępna on-line na stronie wolnelektury.pl.

Utwór opracowany został w ramach projektu Wolne Lektury przez fundację Wolne Lektury.

ELIZA ORZESZKOWA

Rotszyldówna

Dnia tego, o południu, świat był cały złoty i świetny. W drzewach i krzewach świegotały, śpiewały ptaki, w usianych kwiatami trawach ćwierkały, brzęczały owady, pobliska rzeka płynęła szafirem i srebrem, a u jej brzegu woda pluskała, ludzie gwarzyli, śmiali się, nucili. Nie darmo pradawni przodkowie nasi twarzami padali przed słońcem, wołając: Królu i ojcze! Dziś także, gdy ten prastary bożek ludzkości wzniósł nad światem oblicze jasne, ciepłe, potężne, z niezliczonych złotych włosów jego, w każdy liść drzewa, w każdy płatek kwiatu, w każdą tkankę trawy i kroplę krwi ludzkiej polały się zdroje ciepła, pogody i siły. Raźnie, wesoło, silnie dnia tego przyroda i ludzie śpiewali pieśń życia.

W tę pieśń wsłuchana, nagle, niespodziewanie usłyszałam głośne, ciężkie, długie westchnienie. Szłam wtedy po miękkiej, żółtemi gwiazdkami usianej trawie dziedzińca wzdłuż oficyny, w której, oprócz kilku parobków, mieszkał jeszcze pachciarz Lejba. Westchnienie, rozległo się za otwartem oknem mieszkania Lejby; zatrzymałam się przy niem i w głąb małej izby, kuchnią będącej, spojrzałam. Brudna, ponura, smrodem kuchennych przypraw napełniona ciemnica; w niej jakieś graty bezkształtne, gliniane naczynia, parę wiader i stołków, trochę polan u pieca, miotła w kącie, łupiny od jaj i kartofli na podłodze, w powietrzu na wyprężonym sznurze wiszące mokre łachmany. Jakby na świecie ani jasności słońca, ani połysku traw i liści, ani zapachu kwiatów, ani wesołych plusków wody i głosów ludzkich nie było. Zmrok, smród, śmiecie — nic więcej. Ale kto tam tak głośno, ciężko, przeciągle wzdychał? Zaledwie mogłam doszukać się wzrokiem przysiadłej u stóp pieca istoty ludzkiej, a ponieważ plecami do okna zwróconą ona była, nic z niej zrazu nie zobaczyłam, oprócz rozsypanych po plecach ogromnych, nieco krętych, jak noc czarnych włosów. Były to włosy tak ogromne, że z pod nich widać było tylko część znoszonej, krótkiej spódnicy i nogi nagie, ze stopami obutemi w płytkie, dziurawe trzewiki. Przed wygasłą i pustą, czarną paszczą pieca, wpółsiedząc, wpółklęcząc prała; domyślać się tego było można po ruchach jej rąk i ramion, od których włosy jej poruszały się także, jak gęste, czarne fale. Wstała i parę kroków uczyniwszy, rozpostartą, mokrą szmatę na sznurze obok innych zawieszać poczęła. Wtedy zobaczyłam, że wzrost miała średni, piersi i ramiona wąskie, kaftan podarty i szeroki, rozchylający się u piersi, okrytej także podartą koszulą. Z za wszystkich tych dziur, jak też pomiędzy trzewikami a brzegiem spódnicy, ukazywało się ciało chude i tak ciemne, że prawie bronzowe. Twarzy jej nie widziałam jeszcze.

— Dziewczynko! — zawołałam.

Żadnej odpowiedzi.

— Dziewczynko!

Nic jeszcze. Może jest głucha. Podniosłam głos do dość wysokiej skali.

— Dziewczynko!

Nic. Wiesza szmatę swoją na sznurze i albo wołania mego nie słyszy, albo do siebie go nie bierze. Zdobyłam się na koncept i zawołałam:

— Żydóweczko!

Odwróciła twarz i wydała z gardła przeciągły, pytająco brzmiący dźwięk:

— H-a-a-a? — Słyszała więc i uprzednie wołanie moje, tylko nie brała go do siebie. Teraz, gdy powiedziałam, aby zbliżyła się, zrozumiała natychmiast, ku oknu, za którem stałam, podeszła i wnet małą ręką oczy przysłoniła, bo do zmroku nawykłe, przed blaskiem światła zmrużyły się one boleśnie. Wtedy dopiero, gdy ręka jej opadła, ujrzałam twarz, śród której ogromne, jak noc czarne oczy nad resztą rysów panowały. Włosy

i oczy były szczegółami tak nad całą jej powierzchownością panującemi, że w obu nich inne prawie całkiem uwadze umykały. Była bardzo młoda, najpewniej siedemnastoletnia; chudość jej ciała, żółtość twarzy, brunatność rąk i piersi odrażały, a wśród tej całości brudnej i szpetnej, we włosach i oczach osiadła i z nich wspaniałym zdrojem tryskała poezja młodości i piękności kobiety.

— Jak ci na imię?

Milczała. W pięknych jej oczach, nieruchomo na mnie patrzących, malowało się zdziwienie.

— Jak ci na imię, kochanko?

Oczy jej zdziwiły się jeszcze bardziej, ale usta nie poruszyły się wcale. Może mnie nie rozumiała.

— Skąd jesteś rodem? Wszakże od paru tygodni zaledwie Lejbowa na służbę cię wzięła. Skąd tu przybyłaś?

Nic; tylko w wielkich, czarnych, zapadłych nieco oczach zdziwienie coraz rosnące i pod którego wpływem wargi rozchylają się nad rzędem drobnych, białych zębów.

— Może ze Skidla?

Głową zrobiła bardzo powolny ruch przeczący.

Więc rozumiała.

— Może z Łunny?

Powoli na znak twierdzenia skinęła głową.

— Czy sierotą jesteś?

— H-a-a-a?

Nie zrozumiała.

— Matka twoja czy żyje?

Na wielką, zdziwioną źrenicę, nakształt żałobnych zasłon opuściły się długie, faliste rzęsy i całkiem ją zakryły.

— A ojciec?

Nic, tylko dłuższy i głębszy cień rzęsów na żółtych policzkach i szczególny ruch rąk śniadych, które u piersi po pasmie włosów pochwyciły, jakby mocno zatargać niemi chciały.

— Masz zapewne rodzeństwo?

— H-a-a-a?

Nie zrozumiała.

— Czy masz siostry i braci?

Uczyniłam przytem ręką ruch taki, jakbym ukazywała różne dziecinne wzrosty i bardzo zdziwiłam się na widok dwu prawdziwych snopów świateł, które z jej oczu wytrysnęły. Były to światła wesołe i miękkie, od których cała twarz jej żółta, chuda i brudna stanęła w słodyczy i ogniu. Możeby przemówiła nakoniec, lecz w tejże chwili spostrzegła Lejbową, szybko i z rozmachem ramion z obory ku oficynie dążącą. Rzuciła się więc w głąb kuchni i podartemi trzewikami o podłogę klapiąc, schylając się, to prostując, balejkę z mydlinami na stronę usuwała, z piecowej paszczy wyjmowała garnki, polana w nią wkładała, ogień nieciła, wyszczerbionym kubkiem czerpała z wiadra wodę. Odeszłam i po miękkiej, złotemi gwiazdkami nakropionej trawie ku szerokiemu, złotemu polu idąc, a drzew śpiewających, wody pluskającej i ludzi gwarzących, nucących słuchając, coraz dalej za sobą pozostawiałam ciemną, śmierdzącą, brudną izbę i mieszkającą w niej istotę ludzką. Wkrótce też zapomniałam o niej zupełnie i zobaczyłam ją po raz drugi zaledwie po paru tygodniach, znowu przez okno, ale tym razem zamknięte, bo niebo było dnia tego pochmurne, a od strony rzeki wiał, szumiał, aż wył niekiedy gwałtowny wicher. Bywa to czasem, że maj wyprawia wielbiącemu go światu takie przykre sceny. Są to podówczas koncerty chłodu, przelatujących jak wodne huragany deszczów, szalonych wyścigów chmur u góry, którym na dole przygrywają płaczliwe gwizdania i ponure szumy. Po wilgotnej trawie, pod rozpacznie miotającemi się drzewami, wzdłuż oficyny idąc, usłyszałam znowu wmieszany w koncert natury głos ludzki, ale tym razem, jakby kaprysom jej na przekór, wesoły i szczęśliwy. Brzmiał on za zamkniętym oknem, w które też wnet spojrzałam. Ta sama kuchnia ciemna, brudna i tak ostremi wyziewami napełniona, że czuć je nawet przez zamknięte szyby, a śród niej ta sama dziewczyna z ogromnymi, czarnymi włosami, nie rozplecionemi tak jak wtedy, ale grubą, długą, rozczochraną kosą,

na dziury kaftana opadającymi. Wyglądała przecież tak zupełnie inaczej, niż podówczas, jakby ją urok jakiś w inną istotę przemienił. Po kuchni, tak jak i podówczas, łupinami jaj i kartofli usianej, chodząc, na ręku trzymała roczne dziecko Lejby, nosiła je, huśtała, w obu dłoniach powyżej własnej swej głowy podnosiła i nagle znowu, ku piersi je opuszczając, na roześmianej, małej jego twarzy, składała głośne całusy. Śmiała się przytem; śmiali się oboje. Przemawiała do dziecka po żydowsku ciągle; nie rozumiałam tego co mówiła, ale w zagięciach i dźwiękach jej głosu słychać było pieszczotliwe nazwy, wesołe pytania, figlarne pogróżki. Nie była więc niema. Takie same snopy wesołych i miękkich blasków jak te, które przy wspomnieniu o jej małem rodzeństwie widziałam i teraz sypały się z jej źrenic, z za bladych warg błyskały w ciągłych uśmiechach drobne i białe zęby, gdy chodząc, raczej biegając, zwracała się w różne strony, ruchy jej miały wdzięk elastyczny, a nogi bose, bronzowe, z ohydnych płytkich trzewików zdawały się wyrywać, wyskakiwać do biegania po polu i łące, do tańca. Przed odejściem od okna widziałam jeszcze, jak pochwyciwszy swoją ogromną kosę, z uśmiechem i całusami, podała ją do zabawy dwom malutkim, dziecinnym rękom, które też niemiłosierne rzeczy dokazywać z nią zaczęły. Targane, skubane, wyrywane włosy ból jej sprawiać musiały, ale ona wcale o niego nie dbała i śmiała się cichym, rozkosznym śmiechem, a resztki czerwonych blasków od wygasającego w piecowej paszczy ogniska, na twarzy jej, ku dziecku pochylonej, igrały mnóstwem swawolnych, płomiennych połysków.

Lecz maj i tę także posiada właściwość, że kaprysy swoje wynagradza światu śpiesznie i stokrotnie. Że wczorajszą posępną burzę dziś promienną pogodą wynagrodzić on zamierzał, oznajmiało o tem czarownie piękne świtanie. Jest to chwila, w której nietylko niebo, ale powietrze, ziemia i wszystko, co na niej, są bardzo błękitne, a pośród powszechnej tej barwy, tylko rzeka w głębokim dole wije się srebrnym pasem i nad nią, u skłonu nieba płonie różany szlak jutrzenki. Zresztą, cisza jest tak głęboka, że słychać zdala pluski ryb, w znikome kręgi rozbijających srebrną powierzchnię wody i że ryby wydają się jedynymi żywymi mieszkańcami ziemi, gdyż liście nawet, te wiotkie i wiecznie szepcące twory, nieruchomością swoją nadają drzewom i krzewom pozór kamiennych, blado-błękitną krepą owianych rzeźb.

Z wysokiej góry schodziłam nad rzekę, pełna uciechy i dumy, że pierwsza z mieszkańców tego miejsca ujrzę ten cudny poranek. Nie; ktoś przedemną jeszcze rozstał się ze snem i nad samym brzegiem wody stoi tak nieruchomo i cicho, jakby przez to chciał w doskonałą harmonję zlać się z cichą i nieruchomą naturą. Jest to dziewczyna średniego wzrostu, której kibić więcej niż do połowy okrywa płaszcz czarnych, rozpuszczonych włosów. Lecz ani te wspaniałe włosy, ani zarzucony na świat cały woal z bladego błękitu nie zakrywają brudnych, dziurawych łachmanów, w które jest ona odzianą i nie czynią bielszemi jej stóp brunatnych, które, zupełnie tym razem bose, do połowy znikają wśród ostrych kamieni wybrzeża. Tuż przy tych stopach, stoją dwa wiadra do grubego drąga uczepione i napełnione wodą. Miała je zapewne ona wziąć na ramiona i na górę zanieść, ale coś ją od tego wstrzymało; stanęła i w coś się zapatrzyła, w co? nie wiedziałam, bo ze stoku góry na nią patrząc, twarzy jej widzieć nie mogłam. Jednak długo twarz ta obróconą była ku jutrzence, potem niezmiernie powolnym ruchem wzniosła się nieco w górę, nakoniec skłoniła się niżej i gdy w rzece, tuż przy brzegu, ryba, gwałtownie za żerem podskakując, rozbiła srebro powierzchni i wznieciła na niej szybkie koliste, długo wirujące ruchy, usłyszałam cichy, pełen zadowolenia śmiech. Tak śmieją się dzieci na widok radującej je zabawki. W ten zaś sposób zaśmiawszy się z żarłocznie podskakującej ryby i ze swawolnie wirującej wody, odwróciła się i nisko schylona, z wysileniem na ramię wzięła drąg z dwoma wiadrami u końców. Gdy na tę stronę, której drąg ciężył, kaleko przechylona, z długiemi cieniami spuszczonych rzęs na żółtych policzkach, obok mnie przechodziła, przemówiłam do niej:

— Dzień dobry!

Długie rzęsy podniosły się i ukazały oczy bardzo zdziwione.

— Wcześnie dziś wstałaś.

Z gardła jej wyszedł chrapliwy, przeciągły, prawie idjotyczny, brzmiący dźwięk:

— H-a-a-a?

— Czy zawsze wstajesz tak wcześnie?

— H-a-a-a?

— Lubisz zapewne takie piękne ranki, skoro tak długo patrzałaś na niebo i rzekę?

Z wiadrami swemi, po ostrym żwirze, powoli wspinając się na górę, patrzała na mnie oczami tak niezmiernie zadziwionemi, że aż od tego zdziwienia otworzyły się jej wargi, a z za nich wydobył się jeszcze chrapliwszy i przeciągliwszy dźwięk:

— H-a-a-a?

U wschodu nieba, z za rubinowego szlaku, wytryskiwał olśniewający półkrąg słonecznych promieni, a świat, nagle i świetnie, stawał cały w złocie, w szafirze, w brylantach rosy, w śpiewie ptaków i w gwarze zwierząt i ludzi, — gdy ona, wraz z kołyszącemi się u jej ramienia wiadrami, znikała w niskiem i ciemnem wnętrzu oficyny.

W pierwszych dniach czerwca nadeszły Zielone Święta, słusznie od barwy nadziei nazwane... Hej, na szerokich łanach żyto w pół człowieczego wzrostu już wyrosło i płynie z wiatrem połyskującą falą, z której wyglądają na świat szafirowe oczy bławatków; po niższej nieco pszenicy biegną tu i ówdzie złote smugi dzikiego rzepaku; w najniższych owsach zakwitły kąkole; brzegami dróg i po miedzach powstały lasy białej i żółtej kamioły. Kwiaty zbożu nie szkodzą, tylko je przyozdabiają, a dalej, na łąkach, wysokie trawy upajającą wonią zdają się wabić kosiarzy, którzy też wkrótce wznieść nad niemi mają błyskawice i dźwięki stali. Wprawdzie wszystkie te — pociechy i bliskie spełnienia nadzieje rolnicze nie tyczą się bezpośrednio parobków, oficynę i parę czworaków zamieszkujących. Do nich nic z tego wszystkiego nie należy, oni orzą, sieją, zbierają nie dla siebie. Jednak nawet w stosunku do tych ludzi z twardemi kośćmi i grubą skórą prawdą musi być to, że nie samym chlebem człowiek żyje i że nietylko wino lać mu może w żyły zdroje radości. Najmniejsza skiba wspaniale ubranej ziemi nie była ich własnością, lecz widok jej całkowicie do nich należał i tak ich snać, w połączeniu z ciepłem, światłem i pewnością długiego spoczynku, cieszył, że na znak uciechy oficynę i oba czworaki ubrali oni od wczesnego ranku w gęstą zieloność. Ze ścianami ustrojonemi w wieńce z gałęzi i widłaków, pachnących ajerem dokoła osypane, z młodemi brzózkami i sosenkami u każdych drzwi i za każdem oknem, brzydkie budynki zmieniły się we wdzięczne, zielone altany. Głowy zaś dziewcząt, córek, i sióstr parobków, zmieniły się w ogrody; zboża, które wkrótce żąć one miały, nie były ich własnością, lecz rosnące pośród nich kwiaty do nich należały. Gdy po południu z pobliskiego miasteczka wracając w jaskrawych andarakach, śnieżnie białych koszulach, a warkoczach pełnych maków i nagietek z rosłemi kształtami, silnem stąpaniem i rumianą cerą, gromadką szły przez dziedziniec, mniemaćby można, że jest to nadchodzący od pola chór polnych bogiń. Pole to właśnie surowe, wymagające, ale świeże i potężne, udzieliło im swojej świeżości i siły, a wzamian tej rosy potu, którem je one skropiły i tych potoków pieśni, które wylewały na nie, dało im rosłe kształty i wesołe głosy. Potniały i teraz, całą milę w upale letnim uszedłszy i — śpiewały, a gromada chłopców, za niemi idąca, wtórowała im głośnym gwarem rozmowy i często wybuchającym śmiechem. Przez cały dzień potem, około oficyny i czworaków, i dalej jeszcze nad rzeką, u płotów, pod drzewami, nad zagonami, słychać było rozmowy, żarty, dziecinne szczebioty, rozpoczynane i urywane pieśni, pobrzękiwania skrzypek, gwizdania dudek. Święto! Święto! Aż nadszedł wieczór, jeszcze nie zupełny, ale ten — jego początek, gdy po znikłej tarczy słonecznej pozostaje na zachodzie niby szeroko otwarta brama do nieba, półkolisty szlak bladej jasności, gdy złote słupy owadów z powietrza zniknęły, a na ich miejsce nisko przy ziemi świerszcze wybuchają wiolinowem ćwierkaniem i wyżej między drzewami basowo huczą chrząszcze. Wtedy u drzwi jednego z czworaków, w zawody niby ze świerszczami i chrząszczami, wiolinowo, głośno, zagrały skrzypce i najgłębszym z najgłębszych basem zahuczał bęben. Pod zielonemi girlandami, okrywającemi ściany, na ławce siedząc, jeden parobek z całym możliwym rozmachem rżnął smyczkiem po strunach skrzypiec, drugi z całej możliwej siły walił pałkami w dno miedzianego kotła. To hasło do tańca, jak wojenna pobudka, rozległo się po dziedzińcu, ogrodach i rzece, przeleciało rzekę i echami zakrzyczało w lesie, wyleciało na pole i oddalonemi dźwiękami pobiegło po miedzach i ścieżkach, aż z dziedzińca, ogrodów, z nad rzeki, z miedz i ścieżek zeszła się i zbiegła duża gromada odświętnych świt i andaraków, nóg bosych lub grubo obutych, twarzy ciemnych, ale rumianych, śmiejących się, gwarzących. Zeszła się, zbiegła i wnet na trawie, rosą wieczorną skropionej, utworzyła rój kręcących się i w takt muzyki przytupu-

jących par ludzkich. Zrazu szło to nierówno, leniwiej lub raźniej, ustawało, rozpoczynało się znowu, wybuchało tententem i gwarem, lub milkło; dziewczęta drożyły się i sprzeciwiały chłopcom, którzy nawzajem, lekceważąc, odchodzili na stronę i ręce w kieszenie zasunąwszy, o nic nie dbających frantów udawali. Lecz wtedy one, na przekór tym frantom, pomiędzy sobą łączyły się w pary i, z pod ściany na trawę wybiegłszy, w takt jedne za drugiemi kruciela kręciły się prędko, prędko, stopami przebierając drobno, drobniutko, jaknajdrobniej. Widokowi temu tamci oprzeć się nie mogąc, powracali, przypadali, nienaturalnie połączone pary rozerwawszy, tworzyli wcale inne i hu, ha! skrzypce rznęły, bęben huczał, ciężkie buty po ziemi dudniły, gardła pokrzykiwały tak głośno, że świerszcze i chrząszcze jakby ze świata znikły, tak ich słychać nie było, natomiast dziedziniec, ogrody, rzeka, las i sąsiednie pola zdawały się brzmieć jednym okrzykiem: Święto! Święto! dla spracowanych i najbiedniejszych, dla potem zlanych i nic na ziemi, oprócz widoku ziemi, nie mających — wesołe święto!

Wtedy, z jedynych drzwi oficyny, nie rozweselonych dziś żadną sosenką, ani brzózką, wybiegła dziewczyna z ogromną, czarną, rozczochraną kosą po plecach, podartym kaftanem okrytych i w krótkiej spódnicy, bosa, u jednego kawałka ściany, żadną gałązką dziś nie przyozdobionego, stanęła. Wybiegła śpiesznie, w podanej naprzód postawie stanęła i z obwisłemi na spódnicy rękoma jakby skamieniała. Z tego jej pochylenia się naprzód, z ognia, którym płonęły jej szeroko rozwarte oczy, odgadnąć było można, że taką zabawę po raz pierwszy w życiu widziała. To też od ciekawości rozwarte jej wargi aż drżały. Zachwycenie i podziw odmalowały się w kilkakrotnem zakołysaniu głową w obie strony, kilka razy też uśmiechy prawdziwie młode, dziecinne, zaigrały po jej policzkach i wybiegły na niskie czoło, które pod czarnymi jak noc kędziorami zajaśniało pogodą poranku. Lecz po kilku minutach ciekawość, zachwycenie, radość zniknęły; spoważniała, chmurzyła się coraz więcej, o czemś snać głęboko myślała, bo znowu wstrząsnęła głową, ale tym razem smutnie, aż powolnym ruchem małą, śniadą ręką w tył sięgnąwszy, grubą kosę swą ujęła i jak ktoś, komu na płacz się zbiera, usta nią zakrywszy, z całej siły ramieniem przycisnęła się do ściany. Zdawać się mogło, że pragnęła niewidzialną stać się z tego miejsca, albo i z ziemi zniknąć, a odejść przecież nie mogła. Widok młodzieńczej, wesołej zabawy przykuwał do siebie jej młodość. Zabawa też coraz weselszą, hałaśliwszą się stawała. Wysoki, zgrabny Ostap prowadził tańce z najładniejszą we dworze dziewczyną, Natalką, która w ogromnym wieńcu z bławatków na wstydliwie schylonej głowie, w bielejącej jak śnieg koszuli, szła obok szarej świtki towarzysza, z ręką na jego ramieniu zawieszoną, pełna siły i zarazem wdzięku, aż nagle on stan jej pochwycił w oba ramiona, ona drugą ręką ścisnęła czerwony pas jego i zakręcili się kruciela prędko, prędko, a drobno, drobniutko, jaknajdrobniej. Za nimi inne pary po mokrej trawie, pod złotemi gwiazdami, w wonnym i przeźroczystym zmierzchu, przy dźwiękach skrzypiec i bębna, coraz głośniejszych, zapalczywych, szybszych, przy spoglądaniu w rozbłysłe siwe, albo modre oczy, przy zapomnieniu zupełnem o biedzie i pracy, w ten sam sposób i tak tańczyły — hu, ha!

Do rogu oficyny tak przytuloną, jakby z tego miejsca albo i z ziemi zniknąć pragnęła, długo w noc stała ona wśród zmroku jak widmo ciemna, jak grób cicha wśród hałasu, sama stała, patrzała, raz tylko w wąskiej jej piersi zaszemrał przyciszony, przeciągły, niezrozumiały lament, ale często powolnym ruchem brała z pleców swoją grubą, długą kosę i łzy nią z policzków ocierała.

Wszystkie zasoby Wolnych Lektur możesz swobodnie wykorzystywać, publikować i rozpowszechniać pod warunkiem zachowania warunków licencji i zgodnie z Zasadami wykorzystania Wolnych Lektur.
Ten utwór jest w domenie publicznej.
Wszystkie materiały dodatkowe (przypisy, motywy literackie) są udostępnione na Licencji Wolnej Sztuki 1.3.
Fundacja Wolne Lektury zastrzega sobie prawa do wydania krytycznego zgodnie z art. Art.99(2) Ustawy o prawach autorskich i prawach pokrewnych. Wykorzystując zasoby z Wolnych Lektur, należy pamiętać o zapisach licencji oraz zasadach, które spisaliśmy w Zasadach wykorzystania Wolnych Lektur. Zapoznaj się z nimi, zanim udostępnisz dalej nasze książki.

E-book można pobrać ze strony: http://wolnelektury.pl/katalog/lektura/rotszyldowna/

Tekst opracowany na podstawie: Eliza Orzeszkowa, Ostatnie nowele, nakład Gebethnera i Wolffa, Warszawa.

Wydawca: Fundacja Nowoczesna Polska

Publikacja zrealizowana w ramach projektu Wolne Lektury (http://wolnelektury.pl) na podstawie tekstu dostępnego w serwisie Wikiźródła (http://pl.wikisource.org). Redakcję techniczną wykonała Paulina Choromańska, natomiast korektę utworu ze źródłem wikiskrybowie w ramach projektu Wikiźródła. Dofinansowano ze środków Ministra Kultury i Dziedzictwa Narodowego.

ISBN 978-83-288-0647-4

Wesprzyj Wolne Lektury!
Wolne Lektury to projekt fundacji Wolne Lektury – organizacji pożytku publicznego działającej na rzecz wolności korzystania z dóbr kultury.
Co roku do domeny publicznej przechodzi twórczość kolejnych autorów. Dzięki Twojemu wsparciu będziemy je mogli udostępnić wszystkim bezpłatnie.

Jak możesz pomóc?
Przekaż 1,5% podatku na rozwój Wolnych Lektur: Fundacja Wolne Lektury, KRS 0000070056.
Wspieraj Wolne Lektury i pomóż nam rozwijać bibliotekę.
Przekaż darowiznę na konto: szczegóły na stronie Fundacji.